

Anna Kołodnicka, urodzona w Samborze, 16.XI.1909 r., w 1939 zastr.
jako pielęgniarka. Ojciec był kolejarzem, zmarł w 1917 r., matka wyemigrowała do Francji /jeszcze przed wojną/.

Jak trzydziestego dziewiątego roku przyszli do nas Ruskie, to przede wszystkim było tak, że trzeba było każdej nocy czekać z workiem. Żeby coś spakować, coś zabrać ze sobą do tej Rosji, ale tylko tyle co się do woreczka zmieściło. Więcej się nie brało. /.../ Z dnia na dzień i z dnia na dzień. Ja do pracy, w pracy też nie było nic dobrego. Ja pracowałam jako pielęgniarka w szpitalu powszechnym, to byłam z takimi ludźmi, co tak przeżywali /to napięcia/, że ratować trzeba było, bo staku dostawali /.../

Swoich lekarzów zaczęli zaraz sprowadzać i swoje pielęgniarki niektóre. Tak, że myśmy pod nich podlegali. Każda się bała: my ich, a oni nas. Idzie jaki tylko szum: gdzie byłaś? po coś chodziła? coś tam dziełała? - coś tam robiła? Tak było cały czas, bez przerwy. Nie było lepszego dnia. To jak się nieraz tak spotkałyśmy /.../, bo nas było 18 pielęgniarek na tym oddziale, gdzie ja pracowałam - no to ześmy wszystkie razem nie miały służby - każda przeżywała to samo, nic lepszego. Tośmy im mówili: Dlaczego wy takie ciemne jesteście? Dlaczego nie dajecie żyć? /A one na to/ mówią: U nas jest bardzo dobrze! Ja wówczas: To jak dobrze, jak u was farfocle wiszą z tych żołnierzy. U nas żołnierz to czysto /był/ ubrany/ i poznać było oficera, odróżnić było /od szeregowca/. A u was i oficer i zwykły tak samo wygląda. To niemożliwe, żeby u was było dobrze! /.../ Wy nawet nie wiecie co pasta jest do zębów! Nic nie wiecie!

Sidol powypijali, bo myśleli, że to jest do picia /.../ Jak poszliśmy do opery, to w koszule nocne poubierali się te Rosjanki. W nocnych koszulach byli w teatrze! My konali ze śmiechu a oni nie wiedzieli z czego my się śmiejemy, czy z nich, czy z tego programu /.../

Bardzo dużo /ludzi/ wtedy wywieźli. Nawet moją doktor Kosińską. Jej mąż był wojskowym, kapitanem. Syn był Jerzyk, był Bogdan /.../ ich było czworo dzieci. Męża zabrali i zginął na Zamarstynowie /.../ A ona nie wróciła, dopóki myśmy tam byli /tj. we Lwowie/ to ja nie widziałam ich.

/.../ Całą rodzinę jego wywieźli, czworo dzieci było i ona i matka. Matka staruszka to nie wiem czy dojechała do Rosji, czy nie /.../

Węgla do palenia nie było u nas - miałam dwa pokoje z kuchnią i piec. Nie miałam czym palić. Chodziliśmy na dworzec z torbami i przynosiliśmy /węgiel/. To Ruskie nas łapali i pod karabinem trzymali, po co my tam przychodzimy /.../ Ja byłam bardzo przystojna, to Ruskie bardzo lecieli na to. Mąż to był mój brat a teściowa moja mama. To przyprowadzałam do domu takiego durnego Ruskiego, żeby wiedział, żebym ja mogła jutro przyjść po ten węgiel. Nawet i z mężem i z sąsiadami. /.../ Tośmy ich tak kupili, że wszystko mieliśmy od nich. Ale jaki krzyz przeżyliśmy najpierw. Czołgać się trzeba było z kilometr, to był bardzo duży dworzec, ten na ulicy Gródeckiej, cośmy tam po węgiel chodzili /.../

Zarobki to my mieli wtedy takie, że nie wiem czy mogłam kilo, czy dwa kilo masła kupić. A mąż zarabiał na trzy paczki papierosów. Pracował jako elektromonter, był brygadziwą. Gdyby nie te dodatki, które miałam jako pielęgniarka to Nawet Ruskie, jak byli, to też dali, bo oni do tego zwyczajne byli - te łapówki u nich nazwają się "kałym". /.../ Sąsiedzi to łupy moje, co ja obierałam kartofle, to zjadali - tak strasznie biedowali./.../ Mąki w ogóle nie było, ani chleba. ~~Wszystko~~ Słoninę można było dostać, masło - ale nie chleb. Wszystko na zamianę. Mąż trzy pary spodni zamienił za mąkę. Głód był okropny /.../ Dwa dni za chlebem się stało. Dawali kawałek ze 30 deka. Mogłam kupić tylko na siebie. Ja to wiedziałam, gdzie się udać. Zawsze szłam do wojskowych /.../ Mówiłam: jestem "miedsestra" - to dawali mi, tylko mówili: -Schowaj, bo by mnie /ludzie/ zabili. /.../ Cztery rodziny karmiłam. Jedna matka /z tych karmionych/ miała pięć dzieci.

Na drugi czy na trzeci dzień /po wkroczeniu Niemców/, ja poszłam na Łąckiego, bo nam powiedzieli, że tam strasznie dużo trupów jest, że namordowali Ukraińcy. Tak nam mówili./.../ To się nie da nawet mówić. Ja do śmierci będę widziała ten widok. Jak przyszłam, to mało ataku

/nie dostałam/, już pdałam przy tym. Ludzie głowy mieli jak latarki gazowe, takie duże głowy. Przyrodzenie podwinane, kobiety piersi powycinane. Brzuchy powypruwane. Ciężarne, dzieci leżały. Na Łackiego to był okropny /widok/. Ja sobie nie wyobrażam, żeby można coś takiego zrobić./.../ To wszystko Ruskie zrobili sami, bo to niemożliwe, żeby Ukraińcy tak mogli mordować ludzi. Jakie byli Ukraińcy, może tam jednostki były, te mordercy, te banderowcy. Ale żeby tak zamordować człowieka, w ten sposób! Na Łackiego jak powyciągali tych ~~ludzi~~ nieboszczyków, pokładli, to tam ludzie przychodzili, oglądali - poznawali swoich. Ja też chodziłam szukać swojego kolegi z pracy, bo go też nie było parę dni i nie wiedzieliśmy co się z nim stało. I on tam też był. Jurek miał na imię, nazwiska nie pamiętam. On też tam leżał. Te głowy! Te głowy były takie duże jak gazowe lampy. Takie duże głowy. I sine. Kobiety ciężarne i dzieci powyciągane. Noworodki koło nich położone. I piersi podcinane. Członki mężczyznom podcinane. Ręce poprzywiązywane. /.../ Nic gorszego już nie mogę zobaczyć. Później poszłam jeszcze na Zamarstynowską ulicę. /.../ Chodziliśmy grupami, bo jeden człowiek to mógł zemdlec. Na tym Zamarstynowie to szczury były jak szczupaki. Szczury były takie duże. Scienna była cała ochlapana krwią, tak okropnie. /.../ W piwnicach też ludzie. Tak poprzywiązywane za... To się mówić nie da! Tak przywiązane za przyrodzenie ~~xx xxx~~ wisieli na sznurkach. Ja o tym nie umię mówić. /.../ To były okropne szczury. Tak ni-ziutko się do tej piwnicy schodziło, głęboki dół był, ze dwa piętra /.../ Później pogrzeby, do jednej mogiły wszystko.

Mnie przecież Ukrainiec miał zabić. Ja niosłam chleb, przyszłam ze ~~xx~~ szpitala, to było po południu. Jego żona czekała na chleb ode mnie. Ja ją ratowałam, bo ona miała dwoje dzieci, a mąż był banderowcem. Onę też była Ukrainką. /.../ To znajoma, sąsiadka z drugiej bramy. Ja przyszłam z pracy, tam nabrałam jedzenia i zupy, i idę do niej. Ona tak się patrzy i mówi: Ania! Pod mur! /.../ No to ja prędko pod mur i stoję, stoję. I słyszę jak ona rozmawia: nie patrz się do góry! A on mnie chciał zas-

trzeleć, ten jej mąż, Ukrainiec. Ja jej chleb przyniosłam do domu i mówię: co ty tak krzyczałaś do mnie? A ona mówi: no tak, tam ludzie zaglądali i nie chciałam, żeby widzieli, że ty idziesz do mnie. /.../ I mrugnęła do mnie. On się Krewiuk nazywał, siedział potem w Rosji ze mną. Był administratorem kamienicy /za okupacji niemieckiej/.

W konspiracji byłam cały czas. /.../ Nas dwie koleżanki poszło i tam mówili, zapisujemy się do partii, do AK-a. Poszliśmy i zapisaliśmy się. Koleżanka nazywała się na imię Jasia, jak na nazwisko nie pamiętam. Ona nie żyje, bo ona się przyznała i ją zabrali. Ona tam ataku dostała i sama się struła. My razem byli w Rosji. Mój pseudonim "Skowronek", a moja koleżanka "Stark" czy "Sztark" hasło miała. Płaciliśmy, te gazetki wyrabiało się. Wszystko to szło pomiędzy ludzi, wszystko to trzeba było roznieść. A przeważnie myśmy to robiły. /Naszą bezpośrednią przełożoną w konspiracji była dr Falkowska. /.../ Nasz był "gienierał" pierwszy Strzelecki. To był kochany człowiek. Jasia mówi: ty wiesz, warto się w nim zakochać! /W 44 roku/ płakał jak dziecko. Mówił: - Moje dzieci kochane, róbcie co teraz uważacie, bo ja już sam jestem na wykonczeniu, już nic nie mogę zrobić... On nie żyje. W Polsce jego Ruskie zabili. Zabrali go i zabili. W czterdziestym szóstym, może piątym roku. /.../ Tak go tłukli, aż go zabili. A on się nie przyznał, bidny.

Wtedy jak oni /Rosjanie w 44 r./ przyszli, to ja pracowałam. Tylko ciągle chorowałam, bo Niemiec tak mnie uderzył w ucho, że mi bębenki popękały. Ciągle chorowałam na ucho, to mi krew ciekła, to ropa, to znów krew. Miałam już iść na operację. Dr Ostrowski szykował mnie do operacji - jemu też syna podczas wojny zabili. Powiedział mi: - Niech się Pani nie martwi, jakoś to będzie. I leżałam trochę w domu, trochę pracowałam /.../ Akuratnie wtedy byłam na zwolnieniu i mnie z domu wzięli. Właśnie za dwa dni miałam iść na operację.

Jakie to aresztowanie było? Przyszło dwóch enkawudzistów, a ja mam na Londyn nastawione radio. /.../ Radyjko miałam specjalne, bo jeden Niemiec mi kupił. Wtedy się zapoznałam z tymi Niemcami. Te Austryjaki

to bardzo dobre byli. I on mi te radio kupił, powiedział, że będę mogła Londynu/słuchać na nim/. Zawsze jak przyszłam z pracy, to sobie słuchałam. Cichutko, żeby nikt nie usłyszał. To radio jest nastawione, koło mnie, bo kto mógł wiedzieć, że w nocy przyjdzie NKWD. Matka otworzyła drzwi, piesek mój też szczekał wtedy. Matka otwiera drzwi a ja zapominam o radio. Zapominam, że nastawione na Londyn. Jezus Matia! Co to będzie! Przez to radio, to się nie ubrałam. Jak stałam w łóżku w nocnej koszuli,/tak poszłam/. /Jeden z enkawudzistów/ mówi: -Mamuszka, daję słowo oficcerskie, że za pół czasu córka wróci. /.../

I poszłam. Mija jeden dzień, drugi dzień, trzeci dzień - ja nie wychodzę. Matka się zmartwiła, przychodziła do mnie, płakała i tam prosiła. Ja mówię: - Mamo nie ma co, trudno, ja wyjadę na pewno do Rosji! Ja mogłam nie wyjechać, bo jak nas prowadzili do wagonów, które stały na dworcu, to mogłam koło Sw. Anny szurnać i tam ucieknąć. Ale myślę sobie: - Boże, matka taka staruszka, taki dobry człowiek - to teściowa była. Nie, nie ucieknę. Bo by ją zabrali zaraz, a ja bym miała grzech na całe życie! I pojechałam.

Jak mnie zabrali/zdomu/, to jeden zabrał radio/.../. A było u nas pięć schodków. I klękam, jak myśmy z nich zeszli. On się pyta co ja robię, a ja mówię, że muszę coś tam poprawić. Ciemno było. I patrzę się, a ten /drugi/ idzie i rąbie! Jak trzasnął to radio do drzwi, tak same strzępy! Porozlatywało się to radio! Jak ja klękaę drugi raz, na samym dole, tak on mówi: - Co ty robisz, czego ty tak klękasz? A ja: - Żegnaj się z kamienicą. Zabrali mnie na Akademicką, bo ja tam mieszkałam blisko, na Boimów. Mnie aresztowano 4.XII. 1944 r.

Mąż poszedł I.XII. albo z końcem listopada. Wyjechali, bo Strzelecki powiedział: - Jedźcie dzieci, gdzie kto może, bo wszystkich strzelają, jak nawet ktoś nie z AK-a, to też strzelają. Wszyscy pojechali - /.../ do Lublina /do wojska/.

Na Akademickiej dwa dni siedziałam, czekałam. Ani jeść nie dawali, ani pić. Jak chciałam pić to chodziłam do kranu. A później nas wywieźli tam,

gdzie ja była w 41 roku. Na Zamarstynowską, gdzie te szczury byli. Jak nas tam przywieźli, to ja już nie wiedziałam jak się nazywam! Ja straciłam /pamięć ?/ ani nawet pacierza, ani jak się nazywam, ani nic. Jak zobaczyłam, że tam jestem, to już wiedziałam, kto mnie będzie gryzł! Bo ja widziałam tych szczurów! Ja już straciłam zupełnie i nieprzytomna byłam. Ja tam byłam dwa tygodnie. Później nas zabrali do ~~xxxx~~ gotta./.../ Na Zamarstynowskiej. I tam nas trzymali aż do wyjazdu do Rosji. Sledztwa w ogóle nie było, ale byłam na Akademickiej zasadzona na cztery lata. Ja dopiero w Rosji się dowiedziałam, w obozie, że ja jestem zasadzona /.../ Wyjeżdżaliśmy na Matki Boskiej Gromnicznej /3.II.45 r.?/./.../ Jechaliśmy dwanaście dni.

Jak nas zabrali do Rosji, ja sobie wzięłam menażkę wojskową męża /.../ i nabrałam sobie do niej wody. Wieźli nas, a mróz był 50 stopni. Przywieźli nas do Zmierynki, to jest na granicy rosyjskiej. Pamiętam, że tam nam dali śledzie suche. To było niedaleko /od Lwowa/ ale jechaliśmy cztery dni. Wysypali nam tam kosz śledzi. Ja jeszcze byłam trochę przytomna. Te śledzie słone, wody nie ma, chleba nie ma. Chleba nam nie dali. tylko na drogę nam dali po kawałeczku, ze 30 deka./.../ Nasypali śledziów i ludzie chapali te śledzie. Ja mówię: Ludzie, czy wy nie macie rozumu! To jest słone, zechcecie pić! I ta inżynier, co była ze mną, żaka dobra znajoma, Urban. Ona umarła tam w Rosji /w obozie/, dostała wszawicy strasznej. My obie nie jedli. Przyjechali my dalej do jakiegoś kraju, nie powiem gdzie to było, bo my zamknięte byli. W "szesnastce" nas wieźli, w wagonie bydłowym. Ze trzysta osób było. Sracz zrobili z desek, z piętnaście centymetrów było. Z tej strony duszność, a z tamtej mróz! /.../ Trzy osoby umarło w drodze. To odbijali okna i wyrzucali my. Przecież nie może zmarły z nami jeździć. /.../ Dojechaliśmy do Woroszyłogradu, woroszyłogradzka obłaść. /.../ Jak my przyjechali to wszystko powysmadało, a ja nie wstaję. Czegoś nie mogę wstać. Albo muszę sukienkę zdjąć, albo ciał. Przymarzała do podłogi. Oni wtedy mówią: Nie, nie będziemy ją rozbierać, bo 50 stopni mrozu /.../ To ona zaraz zamarźnie, jak podlejemy ją wodą. Przynieśli wody ciepłej i podlali

jakoś od spodu i puściło. A ja już nie wstała na nogi. Wzięli mnie dwóch chłopów i zanieśli mnie do takiego dużego kotła, gdzie już było pełno wody. /.../ Ja sobie myślę: Co oni ze mną zrobią? Nie wiem co ze mną robią - bo byłam taka zmęczona i śpiąca, i chora, i zamarznięta, i wszystko. I sobie myślę: Boże, to już chyba koniec ze mną! Oni mnie rzucają, a ja mówię - nigdy tego nie zapomnę - Jezus! Maria! Przebacz mi moje grzechy! Odpuść im, bo nie wiedzą co czynią! Wrzucili mnie - ja patrzę, że ja w zimnej wodzie. Myślałam, że mnie do gorącej wody ~~wrzucają~~ wrzucają. /.../

A później nie mogłam przecież leżeć na sali, gdzie ludzie chore /leżeli/. A tam nie dawali nam ani słomy, ani siana, ani żadnej pościeli. /.../ Deski nieheblowane nawet. A szpital to miał małe prycze i tam był siennik /.../, jakiś sztywny taki. T to szpital się nazywało. A nie-szpital to był na górze. Na górze były nieheblowane deski i ja na tym odleżyny takie dostałam, że ręka cała się mogła do tej rany schować. I z jednej strony i z drugiej. Ja byłam ciężko chory człowiek. Rękami i nogami nie mogłam ruszyć. Później ta siostra widzi, że ja się znam na wszystkim tak jak ona - a nie chciałam powiedzieć, że ja jestem "mied-siestra", ja tam nikomu nie mówiłam. /.../ I mówię/do niej/: żeby ja miała te ręce zdrowe, to ja bym ci pomogła. Ona tam zastrzyki dawała. A ona mówi: -A co ty umiesz? -Umiem dawać zastrzyki. Ona się nie pytała, kto ja jestem. Mówi: - Wiesz co, to ja powiem doktorowi, żeby mnie dał takiej maści. Ja cię będę smarować. I mnie codziennie przychodziła smarować ręce. /.../ Zaczęła mi wracać władza w rękach. Zaczęłam je gimnastykować. Przychodziła inżynier Urban i zawsze mnie gimnastykowała. Bo ja w ogóle nie mogłam się ruszyć, ani głowy, ani niczym. Przychodzili do mnie trzy razy lekarze /.../ i uznali mnie za "artrietycz reumatyzm". Jeden mi powiedział po ukraińsku: - Nie ma na to rady, nie ma na to lekarstwa. Ja mówię: - Dobrze, jak nie ma to trudno! To co ja muszę teraz - muszę tu umierać?

A po 30 - 40 mężczyzn dziennie umierało u nas. Kobiety były zamknięte

po prawej stronie, a mężczyźni po lewej, ale do jednej trupiarni dawali tych wszystkich nieboszczyków. Rów kopali i razem zakopywali wszystko. Tam nie było pogrzebu.

W tym obozie były potworne wszy./.../ Mnie ręce bolały z tego bicia, bo inaczej to by mnie zjedli. A z odwszalni to strzępy nam poprzynosili. Mnie koc wzięli /.../ i z tego mi tylko rąbek przynieśli.

Jasia "Stark" przychodziła do mnie codziennie, bo to moja koleżanka była. Przynosiła mi cebulę. /.../ Ona zginęła w obozie /gdzieś w Rosji/. Ja jej mówiłam, żeby się nie przyznawała. Widocznie musieli ją bić, może ona się tam coś wygadywała. Ja od razu zagrałam Greka i koniec. A ona się przyznała i myślała, że ją wypuszczą. Zabrali ją do Rosji dalej i ja nic nie wiem o niej.

Nasza przełożona w konspiracji, doktor Falkowska /.../ ona tam umarła /tj. w Krasnodonie/. Była z nami wszystkimi. W tym samym szpitalu my leżeli razem. Ona była chora, bo ją bili. Ją złapali i bardzo bili.

Ten Ukrainiec, Krewniuk, też siedział ze mną. On w jednym bloku, a ja w drugim. On dopiero w 1973 roku przyjechał do Lwowa. /.../ Jego zabrali później na Sybir.

Więźniowie chodzili do kopalni. A jaka to była kopalnia, to ja nie wiem, tylko tyle, że się zjeżdżało na piersiach. /.../ Ja tylko leżałam. /.../ wiem, że w tym obozie był Jan Zając.

Jestem tam, w tym szpitalu, pomagam tej siostrze /.../ Ale chory musi do mnie przyjść, bo ja do niego nie pójdę. To przychodzili do mnie i ja dawałam zastrzyki. Nawet mężczyźni przychodzili, bo w szpitalu leżeli osobno mężczyźni, ale przychodzili do tej samej siostry. /.../ Ona już miała ze mnie korzyść. I /pewnego razu/ mówi:

- Wiesz ty co, /.../ już tyle sądu jest i tyle przesłuchują. Codziennie przesłuchują. /.../ Ja ci się postaram.

- Ale ja nie umiem po rusku mówić. Jak ja będę?

- Ja tu znam jednego prokuratora, że umie po polsku.

I tak ona gdzieś go wynalazła.

~~W tym obozie były potworne wszy. Mnie ręce bolały z tego bicia, bo inaczej to by mnie zjedli. A z odwszalni to strzępy nam poprzynosili. Mnie koc wzięli i z tego mi tylko rąbek przynieśli.~~

- Tydzien musisz poczekać, bo on zdaje się wyjechał, bo mamuszka jego chora. - Jego mama Polka była, ja się pytałam później. /.../ I on jest. Ona mówi:

- Tu dwóch mężczyzn przyjdzie, wyniesie cię. - Zrobili mi takie łaski z kija, takie deski. Przybili na to krzyż taki, żebym ja mogła się oprzeć.

- Jak zobaczysz, że tam na zakręcie będzie siedział, tak tylko on idzie tamtędy, ten prokurator. To żebyś ten kij rzuciła na dół, żebyś go puściła. A on podniesie. - Jak ona wiedziała, co to będzie! No i ja tak zrobiłam. /.../ Rzuciłam, on podnosi ten kij. A ja mówię:

- Dziękuję panu.

- Proszę bardzo, co to, pani Polka?

- Tak, Polka.

- Skąd pani jest?

- Ze Lwowa jestem. A pan jest prokurator? - tu się może troszeczkę przechytryłam.

- A skąd pani wie?

- Bo chyba tylko prokurator umie po polsku! - co ja miałam wymyślić? To mi od razu przyszło na myśl.

- Tak, ale tylko ja jeden jestem, co umie po polsku mówić.

- A pan skąd umie mówić po polsku? Pan się nauczył?

- Nie moja mama była Polka.

Tak rozmawiał ze mną, rozmawiał i ja mówię:

- Panie prokuratorze, ile ja już tu siedzę. Ja jestem niedołężna, ani chodzę, ani leżeć nie mogę - takie rany. Jakbym się nie wstydziła, to bym panu pokazała, jakie ja mam straszne rany. Jakie odleżyny okropne!

- A za co pani siedzi?

- A ja nie wiem! Tak zabrali mnie, bez sądu.

- Jak to, sądu nie było?

- Nie, nie było sądu.

- Jak się pani nazywa?

Ja mówię, tak i tak. - Ale pan niech sobie zapisze, bo pan zapomni.

- Nie ja będę pamiętał.

I rzeczywiście. Na drugi dzień rano przychodzi Gosia i mówi: - Pani Kołodnicka, ma pani przesłuchanie. /.../ /Gosia/ to była pomocnica mojego męża w pracy, /we Lwowie/, a że umiała perfektnie po rosyjsku, to była woźnym. /.../ Oni mnie zanieśli na to przesłuchanie. Ale nie było tego prokuratora, tylko jakiś taki cep siedział na zawiasach, że ani słowem się nie odzywał. Cały dzień, od rana od siódmej do wieczora, on do mnie słowa się nie zapytał. Ani jak się nazywam, ani jak co, ani po co. Pisał i pisał, taką kupę napisał tych papierów. Przychodzi ósma godzina wieczorem, pojawia się prokurator. Mówi:

- Co to, pani jeszcze siedzi?

- Panie prokuratorze, ten pan chyba nie umie mówić. Kto to jest? Sędzia, czy sekretarz, bo ja nie wiem kto.

- A to mniejsza o to - mówi on. I tam do niego po jakimś, żebyś mnie zabił, nie wiem po jakiemu coś powiedział, /.../ i tak złapał te papiery i do kosza wrzucił. Do kosza! Cały dzień pisał i ja nie jadła śniadania ani obiadu, ani nic - takie tam obiady byli /kiepskie/, ale ja nie jadłam - /a on to wszystko wyrzucił/.

- Teraz ja będę panią przesłuchiwał.

- A co on robił, on mni nie pytał nawet jak się nazywam, ani nic!

- Ja będę panią przesłuchiwał. Jak się pani nazywa?

- Kołodnicka Anna. - jak się rodziła, wszystko to i ojciec. I mówię: I może męża?

- A pani ma męża? Tutaj pani jest jako panna.

- Ja jako panna? To ja jeszcze drugiego męża mam.

- Jak to?

- Tak jak panu mówię. Mam córkę z pierwszym mężem, a z drugim nic.

Zaczął mnie przesłuchiwać, zaczął mnie pytać. /.../ A ja mówię:

- Ale panie prokuratorze, przede wszystkim proszę mi powiedzieć, za co ja siedzę? Za co mnie aresztowali?

- Pani nic nie wie za co ma cztery lata zesadzone?

- Za co?!? Ja nie byłam na przesłuchaniu ani nigdzie. Nigdzie! - tylko tyle, że się nie wygadałam, że w szpitalu pracuję. Nie wolno mi było

tego powiedzieć.

- Nie wiem proszę pani. Wiem, tutaj jest napisane, że pani handlowała z Niemcami.

- Proszę pana, jak ja mogłam handlować, jak mój mąż robił zapalniczki a ja sprzedawała. - to mi do głowy przyszło - Ja sprzedawała i już nie potrzebowałam handlować. Trzeba było z czegoś żyć, pan wie, wojna.

- No tak. No, ale to już pomijamy. Ale jeszcze pani należała do AK-a.

- A co to jest? - to nie ja rozmawiałam, to Matka Boska za mnie rozmawiała - A co to jest AK-a?

- Jak to? Nie wie pani, co to jest AK-a? Taka podziemia organizacja.

- U nas nie ma, proszę pana, podziemia. Wiem, że w Paryżu, tam jest podziemie, ale u nas w Polsce nie ma. Tam kolejki jeżdżą w podziemiu a u nas nie ma podziemia. /.../

- A jakich ma pani sąsiadów, bo tutaj sąsiadka panią wydała.

- Proszę pana, ja nie mam sąsiadki. Ja miałam Ukrainca, którego chciałam zabić, którego zabijał Żydów /.../, ale on jeden, a ja druga.

Więcej u nas nie było pięt, tylko ja ostatnia, dziewiętnasta.

A ona miała numer 21, ta która mnie wydała, Polka, z Łańcuta, nazywała się Rutowicz, Jak ja dawałam gazetki, to myślę - Polka, żeby jej też dać. A ona mnie wydała, że do AK należę. /.../ Nie wyjechała do Polski, została we Lwowie /.../.

- Nie wiem, proszę Pani, tak pani ma tutaj napisane i ja czytam to, co pani ma napisane.

Ja mówię: Żadne podziemie, ja nie mam pojęcia, co to jest podziemie!

I tak znów za jakiś czas, znów mi co innego zaczyna, za jakiś czas znów: podziemia, znów: Aka. I znów: Aka. I teraz mówi do mnie tak:

- Proszę pani, pani jest tak ciężko chory człowiek, że już pani nigdy się nie wyleczy. Nasi lekarze /.../ dali pani taką diagnozę, że pani jest nie do wyleczenia osoba. Ja pani radzę, daję pani słowo honoru prokuratorskie, że jeśli się pani przyzna...

A Kołodnicka szaku dostała i hahaha! hahaha! hahaha! Myślę sobie: Skurczysyny! Ten dał słowo oficcerskie, że za pół godziny wrócę a ja

cały rok siedziałam. Teraz ten mi znów daje słowo! Słaba byłam i od razu zemdlalam. On mnie nie mógł uratować, tak się męczył ze mną, aż zawołał tam kogoś, żeby pomagali, aż amoniak gdzieś dostali i dopiero ten amoniak mnie pomógł. /.../ On się na mnie tak patrzy i mówi:

- Co się pani stało?

A ja nie wiedziałam, że byłam nieprzytomna:

- A co się stało? Ja nic nie wiem.

- Dałem słowo honoru a pani...

- Jakie słowo honoru pan dał? /.../ Co pan będzie mnie za nos wodził! Słowo oficcerskie dał! Oficerowie u nas byli, enkawudziści, dali słowo honoru i ja wierzyłam: - Za pół czasu docz wernie do mamy - powiedział. A ja jestem rok. A pan mi daje słowo oficcerskie. To kto jest ważniejszy, pan czy enkawudzista?!

- To ja już teraz nie wiem, co ja z panią mam zrobić.

- Bo ja nie wiem proszę pana, czy pan jest starszy od enkawudzisty? To chyba enkawude rządzi całym światem?

- Nie, proszę pani, tu prokurator jest zawsze starszy jak NKWD.

- Ja nie wiem, ja po sądach nie była /.../ z prokuratorami nie miałam do czynienia. - tak siedzę i patrzę na niego. A on tu miał pistolet, w cywilu siedział. - Wie pan co, ani śniadania nie jadłam, ani obiadu, chociaż takie jedzenie tutaj dobre dają, że można i bez tego wyżyć. A teraz, ma pan pistolet, zastrzel mnie pan! Niech mi pan da święty spokój! Z jakąś ziemią, z jakąś... - zaczęłam pleść takie tam.

- Ale kiedy pani się przyzna, pani i tak nic nie będzie, bo pani jest kaleka.

Ja sobie myślę: A ty możesz swoją mamę bujać! Nareszcie on widzi, że już ze mną nie wytrzyma. /.../ A dwie godziny jeszcze z nim miałam przesłuchanie.

- Dziesiąta godzina jest proszę pani. /.../ Daję pani słowo honoru, że pójdzie pani dzisiaj do domu.

- Niech mi pan nie daje, bo już jeden mi dał i ja już nikomu nie wierzę na słowo honoru.

- Ale dzisiaj pójdzie pani do domu. /.../ Może pani iść do siebie /.../ i zabrać swoje rzeczy.

- Rzeczy! Panie prokuratorze, śmiechu warte! Jakie rzeczy! - miałam zimowy płaszcz na sobie, podnoszę a koszula i szlafrok to same strzępy. /.../ - Tak, proszę pana, tak się tutaj dorobiłam. Ale żeby chociaż mogła chodzić. Ja chodzić nie mogę.

- Nie będzie pani chodzić - on do mnie - Teraz ja daję pismo pani - dał mi te papierki, co je mam - pani się tu ma podpisać. Ale zaznaczam pani, czy tutaj, czy we Lwowie, czy gdzie pani będzie w Polsce - my wszędzie panią znajdziemy. Nie wolno Pani słowa powiedzieć, co tu się dzieje. Co pani tu widziała, ani co pani tu słyszała! /.../

- Panie, a co tutaj się dzieje? Ja nawet nie wiem, gdzie tu jest klozet. /.../ Ja tylko widziałam, że ten pan cały dzień pisał, a pan mi to za dwie godziny załatwił.

- Teraz ja pani radzę, pani jeszcze młoda jest - miałam wtedy 31 lat - może pani jeszcze dużo zdziałać. Ja panią wyślę na Krym.

- Proszę pana, /.../ chcę do Lwowa. Chcę jeszcze swojego męża zobaczyć!

- A gdzie jest pani mąż?

- Na wojnie.

- Pani wie pod Berlinem ile zginęło? Dwadzieścia dywizji polskich wojsk zginęło.

Ja zaczęłam płakać. Myślę sobie: - Oho! Już pewnie mój mąż nie żyje.

- Nie, panie prokuratorze, nie pojedę na Krym ani nigdzie, tylko do Lwowa.

- To niech pani...

- To niech przyjdą i mnie zabiorą, ja nic nie mam tam wszystko zabrałam. A teraz mi chyba różanec nikt nie odbierze?

‡ A pani miała różaniec tutaj?

- Tak, proszę pana, w ręce trzymam.

- To niech się pani modli, moja mama też się modli./.../

Jak wracałam? Przyjechaliśmy do Woroszyłowgradu i tam trzeba mieć

miejscówki. /.../ A nas jechało 58 /54 ?/ osób. Dwóch lekarzy wzięli, dla mnie jednego i jeszcze jeden pan /jakiś cukmernik ze Lwowa/, też chęły . /.../ On też miał lekarza. Mój lekarz to był bardzo dobry, taki, że moje pastylki sprzedał tam, w Rosji, za chleb dla siebie. Doktor Jankowski. /.../ Ja się o tym dowiedziałam, bo mi pielęgniarka powiedziała. /.../ Przyszli Rosjanie, lekarze, i mówią: - Co ci nie pomaga, /przecież/ dajemy ci lekarstwo.

- Ja nie dostałam tego lekarstwa!

- Gdzie masz tego lekarza?

~~xx~~ Siostra wiedziała o co chodzi, poszła i zawołała tego lekarza. Lekarz przychodzi a on mówi:

- Słuchaj, dlaczego nie dałeś tej chorej tych pastylek, co ja tobie dałem? - . A on jakoś mu się tłumaczył.

- To są wasi ludy, nie nasi. To wasi ludy!

W tym Woroszyłowgradzie siedzieliśmy całusieńki tydzień. Ja nie mogłam się ruszyć, bo byłam kaleka./.../ Mówię do tego doktora: - Co my tak długo siedzimy, ja już nie mogę tutaj usiedzieć i drugie odleżyny dostaję. /.../ A on: - Co, pani myślała o pałacach?

- Panie doktorze, ja z panem w Polsce będziemy rozmawiać, tutaj nie mamy tematu. Proszę pójść do naczelnika i zapytać się dlaczego tak długo czekamy. I proszę tutaj przyjść i dać znać, dlaczego siedzimy tu cały tydzień.

Przychodzi i mówi: - Dlatego, że nie macie miejscówek.

- A pan co, mój obiad pan nie sprzedał - wiedziałam co robił w obozie - żebyście pieniądze mieli na te miejscówki, żebyście się postarali?

- To co, mam pani stworzyć miejscówki?!

- Tak! A ja miałam w bandażach na nogach pieniądze, miałam tam parę rubli. Dałam i mówię: - Proszę, ja daję na początek, składkę robimy. Zaraz tu składamy i dajemy jemu pieniądze. Ale mnie tam zanieście i ja jemu sama dam, własną ręką. I mu powiem: "- Jak mnie nie wywieziesz to wtedy zobaczysz!". Najpierw dam mu pieniądze a później mu to powiem.

I tak zrobili, jak ja mówiłam. Poszłam tam i powiedziałam:

- Jak wy możecie nas, chorych, tak długo trzymać! Ja przecież nie chodzę, ja wracza potrzebuję!

- To wracz? A czemu on nie powiedział, że ma chorych?!

/.../ On powinien powiedzieć, że ma dwóch inwalidów i potrzebujejechać. A on nie powiedział. /.../ I tak przyjechaliśmy do Kijowa. ~~Przyjechaliśmy~~ Przyjechaliśmy i umiera gość /ten drugi chory/. Jak zobaczył córkę to od razu umarł, od razu zawał dostał. Bo córka na niego czekała w Kijowie. To byli bogaci ludzie, to ona potrafiła sobie wykupić coś, Ruski też pieniądze lubieli. /On/ umiera - tydzień siedzimy. Mamy tak blisko do Lwowa, 300 czy 400 kilometrów, i nie możemy do domu dojechać. Już troszeczkę lepiej chodziłam i poszłam z jednym panem z jednej strony, z drugim z drugiej - poszłam do tego naczelnika /.../ i dałam mu od siebie parę rubli - tam tylko rubli grają rolę - i pojechaliśmy do Lwowa.

Przyjechałam do Lwowa, na Podzamcze, /.../ wszystko się porozlatywało, mają w nosie mnie. Lekarz też /.../, przyjechała do Lwowa - to zostawił mnie i poszedł /.../. Ale nic - jakoś po murze, po murze, poprosiłam jednego pana, poprosiłam drugiego - i tak na te Zamarstynowskie /ulicę/ /.../, do siostry męża poszłam.

/Potem/ na podwórzu dozorczyńia mnie zrobiła taką klatkę, żebym ja się tam schowała. Wciąż mnie szukali, wiedzieli, że ja przyjechałam i wciąż mnie szukali, żeby zabrać z powrotem do Rosji. /.../ Ale tutaj mi papiery do wyjazdu na zachód przyjęli. /.../ Cały czas musiałam się ukrywać. /.../ Sprzedałam wszystkie meble, jeden Ukrainiec to kupił. /.../ Wyjechałam ze Lwowa w sierpniu czy wrześniu 1945 r, do Bytomia.

Później dowiedziałam się, że mój mąż żyje. Szukałam jego po całej Polsce, aż go znalazłam w Słupsku. Był tam na komendzie milicji - /.../ był podoficerem i poszedł na komendanta milicji. Ale był dwa miesiące dopiero, jak ja przyjechałam. To jak ja zobaczyłam, że mój mąż jest komendantem, to mówię: - Bój się Boga! To jak to, w tej Polsce co to nie jest wcale Polska, co jest Rosja /.../, ty tutaj?! Jak ty należysz do tej milicji to ja już się z Tobą rozwiodę.

No i mąż zaraz się ~~xxxx~~ zwolnił i poszedł do swojego zawodu.

/.../ Mój mąż był w AK dowódcą. On się nazywał "Grubas", bo był gruby. Należał w swojej zajezdni, myśmy sobie o tym nie mówili.

/.../ Mój brat chyba zginął, zabrali go Ruskie /w 1939 r./ i ślad po nim zaginął. Nazywał się Budenkiewicz Jan, był porucznikiem. /.../

Wrocław, 2.VI. 1988